

Generał się myli [FELIETON]

Marzycielski kwietyzm to chyba najgorsza rzecz, jaka od czasu do czasu przydarza się niestety chrześcijanom o skłonnościach sekciarskich. Ale czymś zupełnie innym jest aprioryczne wyrzeczenie się nieustannej, ba... koniecznej aż do końca świata, chrześcijańskiej pokojowej konkwisty kultury przez wiarę – pisze Jan Rokita w nowym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

W zdumiewającym wywiadzie dla katolickiego dziennika „La Croix” ojciec Arturo Sosa Abascal – Wenezuelczyk i generał jezuitów – głosi radosną pochwałę sekularyzacji świata zachodniego. Już sam fakt, iż przełożony jednego z najważniejszych zakonów Kościoła Rzymskiego z takim entuzjazmem odnosi się do faktu upadku wiary i tryumfu ateizmu, musi bulwersować każdego zwyczajnego katolika, choćby z tego tylko banalnego powodu, że podobna rzecz (na ile znam dzieje Kościoła) dotąd nie zdarzyła się w dwutysiącletniej historii rzymskiego katolicyzmu. Ojciec Sosa, który nie tak dawno pouczył nas, iż diabeł – to nikt realny, a tylko symboliczna figura naszej kultury, tym razem cieszy się z tego, że miliony ludzi naszego kręgu kulturowego nie mają już żadnej nadziei na zbawienie, zaś Odkupiciel człowieka nie jest dla nich „centrum kosmosu i historii” (jak napisano w incypicie pierwszej encykliki JPII), ale w najlepszym razie jednym z ciekawych mitów zachodniej kultury.

Taka „ignacjańska” próba ratowania owej przewrotnej tezy nie ma wiele wspólnego z poglądem generała jezuitów

Początkowo próbowałem sobie tłumaczyć, że taki punkt widzenia, formułowany dzisiaj – w chwili nie pierwszego, i

zapewne nie ostatniego kryzysu rzymskiego katolicyzmu – musi być swoistą inteligentną prowokacją, mającą przekonać nas do znanej w sumie prawdy, iż każdy kryzys może, choć wcale nie musi, być impulsem dla nowego, lepszego życia Kościoła. Zwłaszcza że Sosa argumentuje, iż fakt sekularyzacji otwiera katolikom „przestrzeń wolności” i pozwala „zanurzyć się w społeczeństwie pluralistycznym”. Można by więc próbować rozumieć generała w taki sposób, że oto my, katolicy, stanęliśmy dziś przed wyzwaniem stania się na serio ludźmi wiary, którzy nie tylko z kryzysu umieją wyjść silniejsi, ale wzorem św. Ignacego potrafią również przystąpić do odwojowania na nowo zachodniej kultury dla chrześcijaństwa.

Niestety czytając dalszą część wywiadu, pojąłem, że taka „ignacjańska” próba ratowania owej przewrotnej tezy nie ma wiele wspólnego z poglądem generała jezuitów. Sosa nie pozostawia bowiem wątpliwości, iż to, co naprawdę budzi jego entuzjazm – to wizja definitywnego zerwania więzi między zachodnią kulturą a religią. Potępia on sposób, w jaki ludzie przez wieki przyjmowali na Zachodzie chrześcijaństwo, gdyż uważa, iż „nie był to sposób wolny”. A za owo „zniewolenie” wini starą chrześcijańską kulturę, która przez długie wieki była dla milionów ludzi najważniejszym zapośredniczeniem wiary, formą jej społecznego trwania i przekazywania z pokolenie na pokolenie. To dzięki tej formie wielu z nas mogło dotąd rozumieć samych siebie, jako tych, którzy

urodzili się katolikami, są katolikami i umrą katolikami. Ten kulturowo zapośredniczony przekaz wiary stworzył przez wieki nie tylko przestrzeń sakralną, dającą nam poczucie zadomowienia w naszej Europie (architektura, sztuka, muzyka, literatura, obrzędowość etc.), ale – co ważniejsze – stał się źródłem swoistej „chrześcijańskiej paidei”, w której nas wychowywali nasi rodzice, a my wychowywaliśmy nasze dzieci. Sosa wszystko to potępia, jako formę zniewolenia, gdyż – jak mówi – „wiara była narzucana przez kulturę”. I teraz dopiero nastąpić ma prawdziwe wyzwolenie.

Nam – współczesnym europejskim katolikom – trudno by sobie było w ogóle wyobrazić świat, w którym religia jest kulturą, a kultura religią

Rzecz jasna, od wielu stuleci w naszej Europie chrześcijaństwo i kultura nie są ze sobą tożsame. Prawdę mówiąc, nam – współczesnym europejskim

katolikom – trudno by sobie było w ogóle wyobrazić świat, w którym religia jest kulturą, a kultura religią. Przekonująco pisał o tym niegdyś Eliot, upatrując w marzeniu o tożsamości religii i kultury z jednej strony oznaki dziecięcej niedojrzałości, z drugiej – nawet pokusy totalitaryzmu. Ta luka, która otwiera się pomiędzy wiarą i kulturą – wedle Eliota – „nakłada na nasze barki ciężar”, którym jest świadomość, iż świat, w którym żyjemy, jest różny od Nowego Jeruzalem. Jedna rzecz, to mocno zdawać sobie z tego sprawę i nie uciekać w „religijne pijaństwo, które traktuje alkohol jako środek łagodzący” (to też Eliot, w eseju „Ku definicji kultury”). Bo marzycielski kwietyzm – to chyba najgorsza rzecz, jaka od czasu do czasu przydarza się niestety chrześcijanom o skłonnościach sekciarskich. Ale czymś zupełnie innym

jest aprioryczne wyrzeczenie się nieustannej, ba... koniecznej aż do końca świata, chrześcijańskiej pokojowej konkwisty kultury przez wiarę. Bo przecież tylko dzięki tej konkwistie ciągle możemy zachować nadzieję, iż świat, który zostawimy naszym dzieciom, nie będzie światem bezapelacyjnie tryumfującego pogaństwa. To w końcu jedna ze słynnych przestróg papieża Wojtyły, iż: „wiara, która nie staje się kulturą, jest wiarą nie w pełni przyjętą.”

Logika Sosy ma bowiem niestety swoje bardzo realne i praktyczne konsekwencje. Generał jezuitów występuje dziś ramię w ramię z wojownikami radykalnego ateizmu, którzy tak jak on, również walczą o złamanie rzekomej katolickiej „hegemonii kulturowej”, za którą ich zdaniem podążają zniewolenie, przesąd, rasizm, upokorzenie kobiet i tyrania seksualna. Postępowi intelektualiści – od Gramsciego, przez Althussera, Chomskiego, aż po Žižka – nie chcieli przecież nigdy od nas, katolików, niczego więcej, jak tylko tego, co właśnie ofiarowuje im teraz generał jezuitów. Czyli przyrzeczenia, że nie rościmy sobie już żadnych praw do kształtowania kulturowej przyszłości Zachodu. Że posłusznie zaprzestaniemy głosić poglądów i zasad, które naszym zdaniem biorą się z wiary, albo z wierności Kościołowi, ale są dziś – tak to ujmijmy – niemile widziane. Że w końcu pogodziliśmy się z rolą ludzi wydziedziczonych i wygnanych z zachodniej kulturowej wspólnoty, a nawet – zgodnie ze wskazówką generała jezuitów – zaczynamy odczuwać dumę z rzekomej wolności, jaką w ten sposób udaje nam się zdobyć. Wszystko to stało się – co prawda – dopiero po przewlekłym i nikomu niepotrzebnym oporze. Ale potrzebowaliśmy oświecenia przez wenezuelskiego generała jezuitów, aby nareszcie pojąć i zaakceptować to, co przecież dla ludzi z otwartą głową już dawno temu powinno było być najzupełniej oczywiste.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

